

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Kazimierz Grzebuła (1929–2018)

Odszedł jeden z nielicznych już członków-założycieli Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej. Korzenie rodu Kazimierza Grzebuły osadzone są w odległych dziejach Urzędowa. Świadomy tego dziedzictwa, był bez reszty oddany służbie ziemi urzędowskiej.

W gronie założycieli TZU był jednym z najbardziej aktywnych członków, służył pomocą w licznych przedsięwzięciach. Przez pewien okres był we władzach zarządu. Brał czynny udział we wszystkich zjazdach i uroczystościach. Zawsze można było liczyć na jego wsparcie. Kiedy przygotowywany był do druku pierwszy numer „Głosu Ziemi Urzędowskiej” (w 1987 r.) wystarał się i dostarczył papier do drukarni w Świdniku. Wydawca wówczas sam musiał załatwić papier, gdyż drukarnia nie miała przydziału.

Był wnikliwym czytelnikiem wszystkich naszych publikacji. Sam na łamach „Głosu Ziemi Urzędowskiej” 1999 zamieścił wspomnienia z pobytu służbowego w Korei Północnej. Wchodził w skład 5-osobowej grupy specjalistów energetyków projektujących rozwój elektrowni atomowych. Udali się na zaproszenie władz rządu koreańskiego w 1987 r. Artykuł jest niezwykle ciekawy z uwagi na to, że do dziś kraj ten nie jest jeszcze do końca rozpoznany. Tekst jest wzbogacony częścią historyczną i opisem przyrody Półwyspu Koreańskiego.

Dość długie życie śp. Kazimierza wpisuje się w pokolenie urzędowian, którzy zdobywali wykształcenie tuż po wojnie. Jego rodzice mieszkali w Bęczynie, gdzie urodził się 20 lipca 1929 r. Szkołę Powszechną ukończył w Urzędowie w 1943 r. Wkroczenie Armii Czerwonej na nasze tereny w lipcu 1944 r. przyniosło „wyzwolenie”. Za sprawą miejscowego grona nauczycielskiego i świątłych urzędowian uchylone zostały drzwi do nauki dla spóźnionej na skutek wojny młodzieży urzędowskiej i okolicznych miejscowości. Z tej sposobności skorzystał także Kazimierz. W roku 1948 ukończył tę szkołę i rozpoczął naukę w renomowanym liceum Zamoyskiego w Lublinie. Studia na Politechnice Warszawskiej na wydziale elektrycznym odbył w latach 1950–1954. Z tytułem inżyniera rozpoczął pracę w Biurze Studiów i Projektów Energetycznych w Warszawie.

Za wzorową pracę otrzymał szereg odznaczeń państwowych i resortowych. Na emeryturę przeszedł w 1991 r. Od

czasu studiów mieszkał wraz z żoną Hanną w Warszawie przez prawie 70 lat. Nie miało to wpływu na jego „zażyłość” z Urzędowem. Serdeczne więzy rodzinne jeszcze bardziej umacniały przywiązanie do miejsca, z którego wyrósł. Na miejsce swojego wiecznego spoczynku obrał rodzinny grobowiec. Tu spoczęła jego żona, zmarła w 2015 r. Sam zaś, utrudzony postępującą chorobą, zamieszkał u brata Jana w Dzierzkowicach, gdzie otoczony serdeczną troską, po niespełna rocznym pobycie zmarł 6 września 2018 r. W tym ostatnim, trudnym okresie swojego życia nie przestał żyć urzędowskimi sprawami – bardzo interesowała go budowa pomnika, do której dołożył znaczącą cegiełkę. Do urzędowskiej biblioteki

przekazał ze swoich zbiorów cenną pozycję o Janie Michałowiczu.

Pogrzeb odbył się 9 września 2018 r. Żegnała go liczna rodzina, grono przyjaciół, kolegów, sąsiadów oraz delegacja TZU wraz ze sztandarem. Pozostał w pamięci jako osoba o życzliwym, serdecznym i ciepłym usposobieniu. Był dobrym człowiekiem.

Niech Pan obdarzy go wieczną radością.

Tadeusz Surdacki



Takim Go zapamiętam

Mgr inż. Kazimierz Grzebuła był moim kuzynem i starszym o pokolenie Rodakiem z Bęczyna. Widywałem Go w ostatnich dwudziestu latach nawet dość często, lecz tak naprawdę prawdziwą głębię osobowości Zmarłego poznałem u kresu Jego stosunkowo długiego życia. Ciężko, choć nie obłożnie chory, ostatnie miesiące po opuszczeniu Warszawy spędzał u brata Jana Grzebuły w Dzierzkowicach. Odwiedziłem Go w lipcu 2018 r. Widocznie choroba na chwilę ustąpiła, bo był wtedy w bardzo dobrej formie intelektualnej. To co szczególnie zaskakiwało, to doskonała dykcja oraz literacki sposób wyrażania i formułowania myśli. Wydawało się, że mam do czynienia nie z technokratą, inżynierem o ścisłym umyśle, ale przede wszystkim z humanistą, wytrawnym filologiem i retorem z wrodzoną umiejętnością prowadzenia dialogu i narracji.

Cierpiał ostatnio z powodu niedowidzenia, następnego dnia wybierał się na zabieg okulistyczny. Żałował, że wcześniej się na to nie zdecydował. Powiedział, że gdyby miał jeszcze żyć tylko „z pół roku”, to warto to uczynić,

by móc jeszcze cieszyć się słońcem i przyrodą, której akurat tam nie brakowało.

Nie kryłem zbyt, że ostatnie tygodnie sen z oczu spędza mi budowa pomnika w Urzędowie z okazji 100-lecia Odzyskania Niepodległości. Niewiele pytał, sam wiedział o co chodzi, nadmienił tylko w obecności brata, że na pewno pomoże w realizacji tej inicjatywy. Potem dalej rozmawialiśmy o wszystkim, o czym się tylko dało. A że zawsze lubiłem słuchać dużo starszych od siebie, traktowałem swego rozmówcę jako mentora i niewyczerpane źródło informacji o sprawach i tajemnicach, których już dzisiaj bym nie poznał. Głównym tematem były sprawy naszej wspólnej Małej Ojczyzny, nie muszę dodawać jakiej.

Rozstaliśmy się po dwóch-trzech godzinach rozmowy. Po jakimś tygodniu zaskoczyła mnie nie tyle wpłata pieniężna nadesłana na konto pomnika, wysłana przez K. Grzebułę, co jej wysokość (2000 zł). Natychmiast zadzwoniłem, by serdecznie nadawcy podziękować za pomoc. Stwierdził wtedy, że był to odruch naturalny i absolutna powinność wobec swych przodków i Urzędowa. Rozmawialiśmy telefonicznie po raz ostatni może dziesięć minut.

Jego słowa wryły się na stałe w moją pamięć. Po pierwsze powiedział, że jest po udanej operacji oka, dzięki czemu świat widzi w zupełnie innych kolorach. Po drugie, wyraził ubolewanie, że nie może już tak, jak w przeszłości, poświęcać się pracy społecznej w TZU, z drugiej strony był szczęśliwy, że znalazł się ktoś, kto kontynuuje dzieło rozpoczęte przez Jego generację. Potraktowałem to jako zobowiązanie i skierowany do mnie testament, który chciałyby skutecznie wypełnić.

Okazało się, że szacując swoją resztkę życia na „pół roku”, był zbyt optymistą. Kilka dni później znalazł się w szpitalu, z którego już nie wrócił. Podczas hospitalizacji kontakt z Nim był już niemożliwy. Zdażył jednak jeszcze wypełnić i swój testament, składając jakże symboliczną część samego Siebie w postaci urzędowskiego *Anioła Wolności* czy – po raz pierwszy użyję tego określenia – *Archanioła Zwycięstwa*. Po tych dwu ostatnich rozmowach ze śp. Kazimierzem wiedziałem, że muszę Go pożegnać przed złożeniem doczesnych prochów na urzędowskim cmentarzu parafialnym. I uczyniłem to, wyrażając myśli, które w zarysie powyżej przytaczam.

Marian Surdacki

Śp. dr Domicela Pomykalska-Wośko (1930–2018)

Mowa pożegnalna na ceremonii pogrzebowej

Mam wielki zaszczyt wyrazić parę myśli o śp. dr Domiceli Pomykalskiej. Czynie to perspektywy oficjalnej i prywatnej. Żegnaj Zmarłą w imieniu członków i zarządu TZU, którego jestem aktualnym prezesem, i które to towarzystwo zakładał przed ponad 30 laty jej mąż prof. Ignacy Wośko. Żegnaj Panią Doktor w imieniu regionalistów skupionych w Wojewódzkiej Radzie Towarzystw Regionalnych w Lublinie, której obecnie jestem przewodniczącym. Jako urzędowianin z urodzenia, żegnaj Ją w imieniu lokalnej społeczności, sąsiadów, znajomych i mieszkańców całego miasta, którym nigdy nie odmawiała pomocy medycznej, tak jak i Jej mąż. Jako przedstawiciel świata nauki żegnaj śp. Panią Doktor w imieniu grona profesorów – przyjaciół z Uniwersytetu Medycznego i innych uczelni. Chciałbym przede wszystkim podziękować za to, że mogłem Ją znać, i w jakiś sposób uczestniczyć w Jej życiu. Przypominam sobie, jak odwiedzałem Ją w lubelskim domu i przy herbacie oraz ciastku omawialiśmy kwestie związane z Urzędowem. Ulica Dubois w Lublinie zawsze kojarzyć mi się będzie z Panią Doktor Domicelą, a przez to z Urzędowem. Dziękuję za natychmiastową interwencję w sytuacji zagrożenia życia jednej z najbliższych mi osób i za ciągłe wypytywanie o zdrowie mojej Mamy.

Była indywidualistką, osobą nietuzinkową, oryginalną, można powiedzieć Wielką Damą, o manierach dostojnej szlachejki. Pamiętam z czasów studenckich, jak dystyngowana, ze splecionym kokiem, niekiedy w kapeluszu, ubrana na jasno i z parasolką w rękę, przechodziła obok KUL-u po Al. Raclawickich, wracając zapewne do domu. Widywałem ją też w stroju bardzo odważnym, np. w jak skrawo czerwonej spódnicy.

Śp. Pani Domicela Pomykalska-Wośko urodziła się 14 stycznia 1930 r. w Urzędowie. Jej Ojciec Adolf Pomykalski wyjechał na początku XX w. do Ameryki „za chlebem”, walczył w armii amerykańskiej. Po powrocie z oceanu za zarobione tam oszczędności zakupił dawny młyn królewski. Jako zamożny młynarz odgrywał znaczącą rolę w życiu społeczno-gospodarczym Urzędowa. Matką Pani Domiceli była pochodząca z Ratoszyna Leokadia Wiczorek. Rodzice bardzo dbali o wykształcenie dwojga dzieci. Zarówno Domicela, jak i jej młodszy brat Marian ukończyli studia lekarskie. Ona uzyskała specjalizację okulistyczną (pod kierunkiem słynnego prof. Krwawicza), brat został laryngologiem. Po skończeniu studiów Domicela Pomykalska wyszła za mąż za pochodzącego z przedmieścia Mikuszewskiego Ignacego Wośko. Mieli dwóch synów: starszego Marka oraz młodszego Dariusza.

Należy zaznaczyć, że nazwisko Wośko należało do najstarszych i było dość popularne w Urzędowie już

w XVII–XVIII w., natomiast ród Pomykalskich pojawił się w Urzędowie w XIX w.

Do Wieczności odeszła kolejna znacząca Osoba z Urzędowa. Podążyła tam za wybitnymi Osobistościami Ziemi Urzędowskiej, swym mężem Ignacym czy przyjacielem ich rodziny, ks. kanonikiem Aleksandrem Bacą. Niewątpliwie tak jak oni wyraziście zapisała się w krajobrazie i annałach Urzędowa.

Pani Doktor miała wiele pasji, zainteresowań i talentów. Wykazywała się zacięciem aktorsko-teatralnym, lubiła taniec, kochała śpiewać, aktywnie uczestniczyła w kole kresowiaków. Pomimo pozornej, nieudawanej dostojności i powagi, nie można się było przy niej nudzić.

Jednak przede wszystkim trzy postawy, wartości czy sfery aktywności ją wyróżniały w życiu. Pierwsza z nich to wiara i wierność Kościołowi, swego rodzaju miłość do Boga i Kościoła oraz szacunek do kapłanów. Przyświecało jej hasło „Bóg, honor, ojczyzna”. Wartości patriotyczne, wyniesione z domu, dzieliła przez całe życie z mężem. Po drugie – niezwykła, bezwarunkowa była jej miłość do Urzędowa. Była wyjątkową przedstawicielką pokolenia, które miłość do Dużej Ojczyzny wyprowadzała z miłości do Małej Ojczyzny, do Urzędowa. Zawsze szczyliła się i sławiła Urzędów. Organizowała wraz z mężem sławne „białe niedziele”. Trudno policzyć, ilu urzędowiaków

Rynku, bardzo mi dziękowała za to, że potrafilismy spełnić jej oczekiwania. Teraz jej doczesne szczątki spoczną już w „królewskim mieście” Urzędowie, obok męża, który również o tym marzył – zmarł 19 i pół roku temu.



Pani Domicela bardzo szanowała swoich rodziców, a już wręcz w sposób nieprawdopodobny i niespotykany dbała o pamięć swego męża. Tuż po jego śmierci postarała się o nazwanie dwóch ulic (w Lublinie i Urzędowie) imieniem Ignacego Wośki. Zadbala też o umieszczenie tablic poświęconych profesorowi w kościele parafialnym w Urzędowie, lubelskiej klinice ortopedycznej czy urzędowskim Domu Kultury. Poświęciła mu też i wydała swoim sumptem kilka drobnych publikacji. Nie tylko ja nie znam takiej kobiety, która by z takim zaangażowaniem i oddaniem propagowała pamięć i sławę swego męża. Dodać należy, że po śmierci Profesora Ignacego, stworzyła w Lublinie odrębną Sekcję TZU imienia I. Wośki. Nie sposób jest mówić o Zmarłej z głębszym sensem i treścią bez nawiązania do życia i działalności Profesora. Według mnie tak oddanego Urzędowowi małżeństwa, żyjącego poza rodzinną ziemią, bardzo długo nasze miasto nie będzie miało.

Śp. Droga Pani Domicelo, spoczywaj przy swoim Mężu w swoim umiłowanym urzędowskim mateczniku, w ziemi, którą traktowałaś jak najcenniejsze *sacrum*. Niech Dobry Miłosierny Bóg przyjmie Twą Duszę do Nieba.

Marian Surdacki

Urzędów, 14.07.2018 r.



skorzystało z tej cennej inicjatywy. Przyjmowała ich też w swoim gabinecie prywatnym, we młynie. Marzyło się jej przekształcenie młyna w muzeum lub przerobienie istniejącej w nim turbiny na małą elektrownię. A może to jeszcze nic straconego. Od niepamiętnych lat czekała na to, by Urzędów odzyskał prawo miejskie. Niecierpliwiła się, że tak długo to nie następuje. Wielokrotnie powtarzała: „Gdyby mąż żył, pewnie Urzędów byłby już miastem”. W końcu doczekała się, jej radość z tego powodu widać było podczas ostatniego pobytu w Urzędowie, w czasie Dni Urzędowa w maju 2017 r. Kiedy ją prowadziłem po

Śp. Ryszard Szociński (1945–2018)

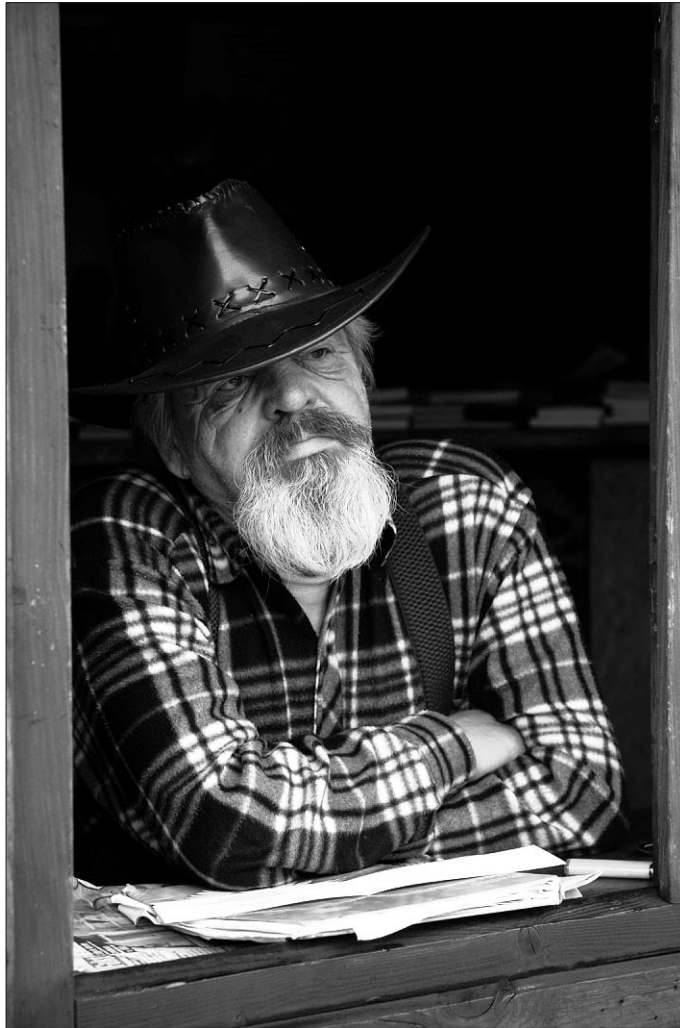
25 marca 2018 r. w wieku 73 lat zmarł Ryszard Szociński, bieszczadzki bard, poeta i zakapior*. Można było go spotkać w Cisnej, gdzie w swojej „Atamanii Bieszczadu” sprzedawał turystom dusiolki na wszelkie szczęście i tomiki poezji, częstował dobrym słowem i prowadził intelektualne dyskusje o literaturze, życiu w górach i ludziach, którzy tu mieszkają.

Urodził się w Urzędowie. Tu uczęszczał do szkoły podstawowej, po skończeniu której zaczął szukać swojego miejsca na ziemi poza granicami Urzędowa.

Jako młody chłopak trafił do Gdańska, gdzie uczył się i rozpoczął pracę w stoczni im. Włodzimierza Iljicza Lenina. Wówczas też zadebiutował w gdańskim tygodniku „Stoczniowiec” jako poeta. Jego wrodzona inteligencja i zdolności pisarskie umożliwiły mu awans na kierownika klubu młodzieżowego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Karierę działacza młodzieżowego przerwało jego zaangażowanie w działalność kabaretową. Pisane przez niego teksty do kabaretu nie spodobały się prominentnym działaczom politycznym. Stracił zaufanie dyrekcji stoczni i został zwolniony. Imał się potem różnych innych zajęć, ale żadne nie odpowiadało jego poetyckiej naturze. Wówczas też wpadła mu w ręce ulotka zachęcająca do pionierskiego osadnictwa w legendarnych wówczas Bieszczadach. Długo się nie zastanawiał. W roku 1969 pojechał na rekonesans w Bieszczady i został.

Jak to w Bieszczadach, pracę rozpoczął w lesie od zrywki drewna. Potem pracował w tartaku w Smolniku. Był nawet młodszym kucharzem w restauracji w Lutowiskach i rozładowywał wagony na stacji kolejowej w Ustrzykach Dolnych. Trzeba było jednak jakoś się ustabilizować. Ciągłe życie w hotelowych barakach nie dawało gwarancji na przyszłość, tym bardziej że poznał dziewczynę z Lutowisk – Danutę. Osiedl w Strzebowi-

skach w zacisznej dolinie, skąd widać Smerek, połoninę Wetlińską i trochę Caryńskiej. Tu kupił kawał ziemi i zaczął gospodarzyć jako osadnik. Ożenił się. Zaczął budować dom. Urodziło mu się czworo dzieci. Najpierw Otylia, potem kolejno Michał, Marcin i Wojciech. Radził sobie jak mógł. Czasy nastąpiły ciężkie, szczególnie w Bieszczadach. Zaczął robić różne drobiazgi i gadzety dla turystów, które sprzedawał w Cisnej.



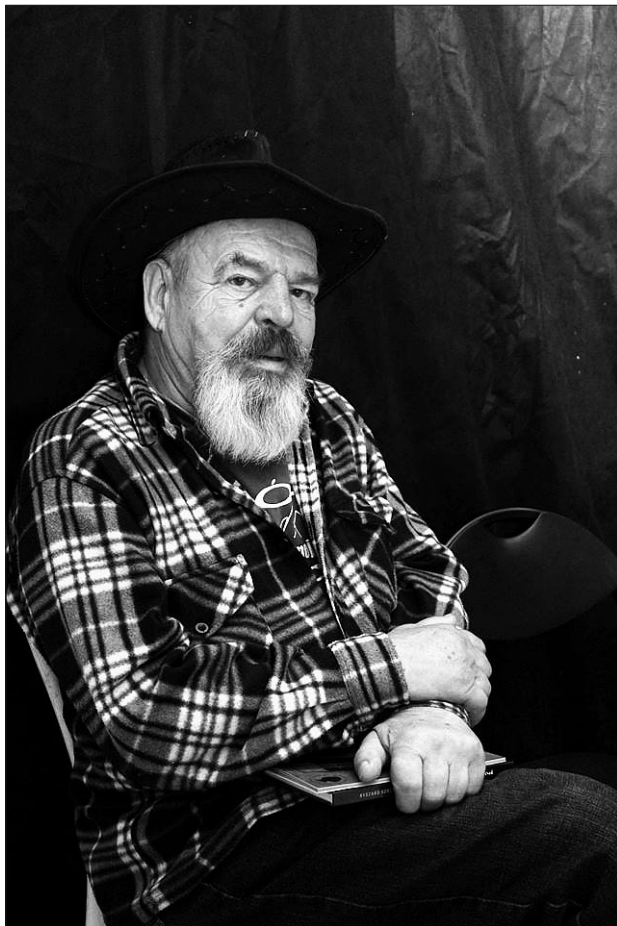
W latach 1970 i 1972 za prozę uzyskał dwukrotnie wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie literackim „O bieszczadzki laur” na opowiadanie. Po długiej przerwie powrócił na drogę poetycką. Zaczął drukować swoje wiersze w regionalnej prasie. Recytował je w radio i rzeszowskiej telewizji. Przestał gospodarzyć. Gdy nastąpiły lepsze czasy, wystawił kiosk na parkingu obok „Siekierzady”, gdzie turystom oferował różne drobiazgi, pamiątki i bieszczadzką poezję. Pod egidą Lubelskiego Bractwa Literackiego w 1997 r. wydał pierwszy tomik poezji pt. *Wędrowanie*. Rok później (1998) ukazał się drugi zbiór jego wierszy *Idąc przez Bieszczad*, opracowany graficznie przez Agnieszkę Słowik-Kwiatkowską, w nakładzie 2000 egzemplarzy. Tomik zawierał ponad osiemdziesiąt pełnych prawdy o bieszczadzkim życiu wierszy, w których miał coś ważnego do powiedzenia,

a ludzie chcieli to czytać. Trzeba było robić dwa razy dodruki po 1000 egz. Rok 2002 przyniósł kolejny tomik wierszy *Jako ptaki Bieszczadu*. W roku 2003 na festiwalu „Bieszczadzkie Anioły” miał swoją premierę pierwszy zbiór opowiadań Ryśka *Bieszczadzkie przypadki*.

W roku 2004 wydał tomik poezji *Wiatrem z Połonin*, latem 2006 r. ukazał się kolejny tomik wierszy, pięknie wydany w twardej oprawie *Tańcząc Bieszczadem*, zaś rok później ukazało się jego drugie wydanie. W lipcu 2008 r. Rysiek wydał kolejny zbiór wierszy pod tytułem *Jest gdzieś taki świat*. Nowe wiersze napisał w Bolonii w czasie pobytu u córki (zebrane w rozdziale *Italiana*) oraz pełne bieszczadzkiej refleksji (składające się na rozdział *Oddech Bieszczadu*), zestawione w tym tomie ze wspaniałymi tłumaczeniami czterowierszy (rubaiyyat) perskiego poety i filozofa Omara Khayyama.

* Bieszczadzki zakapior – dzisiaj to na ogół bardzo szanowany człowiek z silną osobowością, swobodny i zakochany w Bieszczadach. Na co dzień obcujący z przyrodą, czerpiący z niej inspirację do życia i twórczości artystycznej, tworzący pewien koloryt tego regionu, czasami obarczony pewnymi słabościami lub wadami.

Wiosną 2011 r. został eksmitowany z placu koło „Siekierezady”, ale już jesienią stanął naprzeciwko dawnego miejsca nowy pamiątkarski kiosk galeria, który otrzymał nazwę „Atamania Bieszczadu”. To nie tylko miejsce, gdzie sprzedawał turystom pamiątki i tomiki poezji oraz częstował dobrym słowem, spokojem, a przyjaciół może i czymś jeszcze... Dzięki gospodarzowi był to prawdziwy „salon literacki”, gdzie czytało się i słuchało poezji i rozmawiało o poezji.



Rok 2012 zaowocował ukazaniem się tomiku poezji *Słowa z widokiem na Bieszczad*. W roku 2013 Ryszard Szociński otrzymał nagrodę za całokształt twórczości od Zarządu Województwa Podkarpackiego. W tym też roku wydał tomik poezji *Jestem*, a w lecie 2016 r. tomik *Annady*.

Niestety daje znać o sobie straszna i ciężka choroba. Mimo to pisze kolejne wiersze. Przygotowuje je do wydania w tomiku *Święty chaos*. To z pewnością najpiękniejszy i najbardziej wzruszający tomik poezji, odważnie tragiczny i niebywale dojrzały, swego rodzaju poetycki rozrachunek z całego życia. Wstęp do tego tomiku napisał wielki wielbiciel jego wierszy pisanych sercem, Krzysztof Myszkowski. Tomik ukazał się w grudniu 2016 r.

Po walce z chorobą, wrócił ze szpitala. Jednak choroba pozostawiła ślad – odebrała mu głos. Nie poddał się, znowu był w swojej „Atamanii Bieszczadu”. Tam też spotkałem Ryśka jeszcze raz, w lipcu 2017 r. Rozmawiał ze mną za pomocą gestykulacji i pisanych na kartkach odpowiedzi. Ja starałem się czytać jego słowa z wyrazu ust. Na kupionym zbiorze opowiadań napisał – „Lopkowi,

przyjacielowi z młodych lat szkolnych w Urzędowie R. Sz. Cisna 26.07.2017”.

Ostatnie spotkanie miało miejsce już na cmentarzu w Cisnej 28 marca 2018 r. przy urnie z Jego prochami.

Erazm Leopold Gałkowski

Podczas pogrzebu został odczytany wiersz Jerzego Nowakowskiego:

Poezja nie umiera. Pamięci Ryszarda Szocińskiego

Wiatr – Jego przyjaciel, rzeński, zielony
Przynosił wieści spod Matragony,
W szumiących trawach obu Połonin.
Za natchnionymi uparcie gonił,
Wpatrzonym w gwiazdy myśli wykradał,
Z mgieł postrzępionych sentencje składał,
Upychał w sakwy czerwień jarzębin,
Brazy Otrytu, gdy w rdzy jesiennej.
I gnał do Atamanii, pod okno uchylone,
Gdzie pióro czekało i zielony kielonek.
To stąd spod pióra, wierszowaną gromadą
Strofy w świat wyfruwały jako ptaki Bieszczadu.
Tu ludzie z autokarów, po nocy, niewyspani
Biegają wprost ku poecie w oknie Atamanii.

Wszak jakże zadyszany, w zadyszany świecie
Nie wierzyć, Jemu – Bieszczadzkiemu Poecie:
„Nic to, że czas mija i nie dręcz się miła,
Że nam dalej niż bliżej do doskonałości.
Ja będę i ty będziesz jeszcze szczęście piła,
Z błogości kosmicznej, z bezkresności”*.
Do tańca nie dać się porwać światem bladym,
Z nim – Zakapiorem Natchnionym tańczącym

z Bieszczadem?

Jego Słów z widokiem na Bieszczad nie słyszeć
jak muzyki
Płynącej z najdalszych zakątków bieszczadzkiej
galaktyki?

Wiatr – przyjaciel poety, posłaniec Atamanii
Nieostrożnym powiewem zamknął okno z wierszami,
I nie wierząc sam sobie, zamarł przerażony:
Nie wyfruną jak ptaki wiersze nieskończone!
Czym napelnić sakwy? Jak żyć przyjdzie Dusiołom?
Ludziom z autokarów... Zielonym Aniołom?

Wietrze lekkomyślny! Ty ustawiasz obłoki,
Zanosisz nasze modły do Niebieskich Połonin,
Załkaj, zapłac z żalu po Nim...
I popędź jak dawniej w góry, zbierz wieści i widoki.
Spójrz – okno w Atamanii znowu się otwiera!
Znak, że Jego poezja żyje!
Poezja – choć też nadzieja, nigdy nie umiera!

* Ryszard Szociński, *Jako ptaki Bieszczadu*.